

Jacek Sieradzki

W CZASACH ZDALNYCH

Nie ma teatru. Długo nie będzie, diabli wiedzą jak długo. I mniej ważne są w tej kwestii postanowienia władz o tym czy innym etapie odmrażania życia; te decyzje na pstrym koniu jeżdżą i niekoniecznie zależą od rzeczywistych konieczności. Bardziej liczy się to, jak mocno zostanie w ludziach lęk przed gromadzeniem się w ciasnej sali (pomysły z siadaniem co trzeci fotel brzmią cokolwiek absurdalnie). Czy aby na pewno teatr będzie tym sposobem odreagowania życiowego przymknienia, jaki odryglowani wybiorą jako jeden z pierwszych? Czy te sposoby dialogu scena-widownia, jakie dominowały w praktyce przedpandemicznej, bez uszczerbku przechowają swoją moc? Nic, jak sądzę, nie odmrozi się automatycznie i bez konieczności nowych przemysłów.

Z którymi może nie aż tak bardzo trzeba się śpieszyć. Pospierałem się z bliską mi reżyserką, która wzywała aktorów do pracy nad przedstawieniem szykowanym do sieci, posiłkując się argumentem, że oto przyszła pora, kiedy artyści muszą udowodnić własną potrzebność. A może – mówiłem prowokacyjnie – sposobem udowodnienia własnej dojrzałości byłoby raczej niezawracanie głowy ludziom pochłoniętym innymi sprawami niż wciskanie im siebie na siłę? A przynajmniej zasadnicze przesterowanie strategii twórczej z pieszczenia własnego ja na wysiłek uważnego rozpoznania, czego przede wszystkim mogą pragnąć ci, którzy nie z własnej woli przestali pojawiać się na widowniach? To się poniekąd dzieje: słucham i oglądam piosenki, które zaczęły umieszczać na swoich stronach teatry. Ansamble różne, od Narodowego po offy, ale piosenki podobne: te lubiane, rozpoznawalne, dynamiczne. Misterna robota, kilkanaście osób wgrywa z domu parudźwiękowe frazy, ktoś to montuje w zbiorowe clipy czy, jak się mówiło trzy epoki temu: pocztówki dźwiękowe. A przekaz jest prosty: tyle od nas na teraz, trzymajcie się, spotkamy się w lepszych czasach. Może to najlepsze z całej tej przeprowadzki do internetu, która zaprzęta dziś tak dużo uwagi?

Wolę to w każdym razie od kompulsywnego wkładania do sieci wszystkiego, co teatr ma w elektronicznych archiwach, tudzież od aranżowania na chybcika nowych, zdalnych przed-

sięwzięć. Choć oczywiście bezczelnością byłoby krytykowanie z wygodnej pozycji obserwatora czegoś, co po pierwsze w koszarnej sytuacji niegrających i niezarabiających placówek ma wreszcie przynieść dochód (z programów ministerialnych popierających kulturę w sieci), a po wtóre daje namiastkę twórczej aktywności, działania, walki wydanej apatii. Tak czy siak, to właśnie tylko namiastka, żeby nie wiem ile wejść na stronę odnotowały liczniki. Albo zdjęte z półki archiwalne nagranie, pamiątka czegoś, co kiedyś było żywe, a teraz jest tylko rejestracją – albo, w najlepszym razie, wycieczka na nie swoje terytorium, konkurowanie z teatrem telewizji, z filmem, z internetowym streamingiem, z dziedzinami przekazu rządzącymi się innymi prawami i, co najważniejsze, innym trybem odbioru.

Musimy czekać. Jak inni w setkach dziedzin życia. Czego świadomość przywraca proporcje – ale przecież nie koi nawet na jotę.

Padło hasło „teatr telewizji”. Ta forma, stosunkowo najmniej oddalona od żywej sceny, powinna hulać w czasach zdalnych. Mało kto wie, że istnieje ponad pół setki inscenizacji współczesnej polskiej dramaturgii nakręconych w ostatnich latach w ramach „Teatroteki”, przedsięwzięcia Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych. Ciekawe teksty, młodzi reżyserzy, świetne obsady. Nie do obejrzenia nigdzie! Ani w serwisach i telewizjach komercyjnych, ani w stacji państwowej, choć jej macherzy, rabując nasze pieniądze, mieli pyski pełne frazesów o misji. Ich własne archiwa zresztą także zawierają sporo wartościowych spektakli, które pokrywa elektroniczny kurz, bo na ekran idą dzieła aktualnych ulubieńców. W kwietniu i w maju Teatr Telewizji wyemitował w odstępie dwóch tygodni dwie inscenizacje tekstów Wojciecha Tomczyka. Nie wiem, czy kiedykolwiek pośledniejszych autorów (powiedzmy takiego Mrożka) spotkał w tym paśmie równie łaskawy los.

Wśród Tomczykowych emisji było *Bezkrólewie*, które zanotowało spektakularną klapę, w ślad za czym runęła jedna z najtroksliwiej hołubionych legend polskiej prawicy. Autor

napisał tę sztukę rok po katastrofie smoleńskiej. Nikt jej dotąd nie wystawił, co dało pole do wypisywania filipik o liberalno-lewicowej cenzurze; kreowano wręcz mit półkownika III RP. Po telewizyjnej prapremierze apologeci – poza dyżurnymi chwalcami – zamilkli, a krytyka z przeciwnej strony miała używanie, odsądzając utwór od czci i wiary, a w inwektywach niekiedy przekraczając granice przyzwoitości.

Ja akurat cenilem dzieło wtedy, gdy powstało. Tomczyk, do tego czasu autor dobrze skrojonych historyczno-politycznych sztuk i scenariuszy (*Wampir*, *Norymberga*), porwał się na formę dotąd nie uprawianą, symboliczno-absurdalną groteskę. Wykreował opowieść o kraju, w którym umarł król, z ogarniętej chaosem stolicy wieją polityczni kuglarze, znajdują gdzieś na rubieży bogobojnie-parafiańską, ultrakonserwatywną rodzinę i będą próbowali na jej plecach wdrapać się z powrotem do władzy. Rzeczą była z kluczem o tyle, że w nonszalanckich cynikach niepodobna było nie odnaleźć odmalowanych z żywiołową nienawiścią ludzi Tuska, z nim samym włącznie. Ale dalibóg nie wiem, kogo należałoby podstawić pod parę pocziwych patriotów, którzy cupnąwszy na brzegu łóżka, gdzie córka wtulona w absztyfikanta czeka na rozkosz, trują z patosem, ile dla nich znaczył niegdysiejszy wybór Karola Wojtyły. Tomczyk usiłował zachować dystans do wszystkich postaci, traktował je modelowo, sięgał po wzorce Gombrowicza (stwarzanie się z samej formy jak w *Ślubie*) czy Mrożka (maszynka gier społecznych z rozdanyymi z góry rolami, zobacz *Tango*). A na wszystko lał bez opamiętania kubły ironii, nie zajmując sztywnego stanowiska, gorzko kpiąc, wpisując się w odwieczne, od staropolszczyzny, ręk załamywanie nad nędzą z bidą, co z *Polski idą, ale z Polski nie wynidą*. Co było może nie nazbyt odkrywcze, ale przynajmniej uruchamiało jakąś ponaddorażną perspektywę.

Ironia nie jest jednak produktem intelektualnym szeroko dostępnym najmłodszym reżyserom. Debiutującemu w Teatrze Telewizji Jerzemu Machowskiemu, pełnemu ideowego zapachu (czemu dał wyraz w wywiadach), nie przyszło do głowy, że w dramacie złożonym w dużej mierze z cytatów, ech, powidoków, odniesień do tradycji literackiej i do klasycznych form, właśnie formę sceniczną należałoby w pierwszej kolejności rozplanować, skonstruować, rozpisać na akcenty, pointy, na kierowane ku widzom sygnały interpretacyjne. Przeczytał dramat po literkach, jakby to było jakieś *Ucho Prezesa*, tylko przegadane, nietrafne i śmier-

telnie nieśmieszne. Aktorzy zagrali mu jak na pierwszej próbie sytuacyjnej, gdzie się dopiero przepowiada tekst, nie cyzelując starć, napięć, konfliktów. Rozlazły montaż dopełnił słabości. I szlag trafił legendę. Może niezasłużenie aż tak druzgocąco, choć z pewnością upływ czasu i pozycja w otoczeniu władzy, jaką zajmuje autor, *Bezkrólewio* nie pomogły.

◆ A skoro mówimy o Wojciechu Tomczyku dziełach wybranych – wybranych do emisji – to wróćmy jeszcze do spektaklu, który miał premierę na jesieni, więc pewnie niedługo będzie powtórka, tak to szybko idzie. Rzeczą nosiła tytuł *Imperium*. Nie wywołała prawie żadnych komentarzy, jak wiele spektakli poniedziałkowego Teatru Telewizji, których obserwatorzy nie oglądają, bojąc się, że odór propagandowego szamba skazi im nozdrza. Owszem, niektóre tytuły przesiakają obrzydliwością stacji, innych zapaszek się na szczęście nie ima. A jeszcze inne są w takiej swojej niedopowiedzianej perswazyjności całkiem nieoczekiwane. Jak ta opowieść o domniemanym spotkaniu Melchiora Wańkowicza z Eugeniuszem Kwiatkowskim w latach trzydziestych tamtego wieku.

To nie jest najlepsza sztuka Tomczyka. Autor ciągnie ją przez odmęty gadulstwa, trzyma Wańkowicza z córką Krysią całymi minutami w poczekalni wicepremiera, potem pozwala bez końca tokować gospodarzowi, na temat niespełnionych ambicji literackich, co pcha postać niemal na granice kabotyństwa. Bo też tak naprawdę wszystko jest nieskończenie długą przygrywką do jednej, kluczowej sceny. Następuje w niej najpierw prezentacja koncepcji Centralnego Okręgu Przemysłowego, pełnej rozmachu idei uczynienia z Polski w ciągu chyba dziesięciu lat (a jest niestety rok 1937) nieklamanej tytułowej imperium na mapie Europy – a potem Kwiatkowski nieśmiało i z krygowaniem składa Wańkowiczowi ofertę objęcia funkcji naczelnego propagandzisty projektu. Prosi, aby giętkie pióro reportera, dziennikarza i twórcy jednego z najlepszych haseł reklamowych w historii (*cukier krzepi*) dało się wprząc do państwowotwórczej służby. I ono się daje wprząc. Wańkowicz, ulubieniec publiczności, spełniony pisarz i wydawca, przyjmuje państwową funkcję. I rozpoczyna urzędowanie od czegoś, czego ta służba żąda często – od czystego świństwa. Komunikuje nieśmiałym braciom Kosieradzki, inżynierom, którzy naprawdę napisali projekt COP-u, że ich udział zostanie ukryty, bo dla sprawy lepiej, gdy ideę firmować

będzie osobiście wielki twórca Gdyni – wicepremier Kwiatkowski.

Pisarze do wynajęcia, czy to nie mniej istotny temat? – pytała Wojciecha Tomczyka Małgorzata Piwowar w „Rzeczpospolitej”. *Odwieczny jak flirty twórców z władzą* – padła odpowiedź. – *Nie mam raczej szerokich doświadczeń w tej sprawie, bo piszę swoje i albo się to ukazuje, albo, powiedzmy otwarcie, mam przerwę w pracy twórczej. [...] To znaczy, że współcześni twórcy nie flirtują z władzą?* – dopytywała dziennikarka. – *Moim zdaniem w Polsce są teraz dwa oddzielne życia publiczne. Nie jest tak źle, jak było – kilka lat temu był jeden tzw. główny nurt i nie było w nim miejsca dla wielu ludzi.*

Dobrze, wiemy zatem, że autor *Imperium* z władzą w żadnym razie nie flirtuje, ba, bywa kneblowany; dalibóg godzien jest współczucia. Ale po coś przecież tę sztukę napisał. Po coś opowiedział szerokiej widowni programu pierwszego TVP, napasionej propagandową kaszą z dziennika telewizyjnego, czy jak tam się to nazywa, edukowanej co wieczór, że przeciwnicy polityczni to wichrzyciele, chuligani i zdrajcy, a dobrobyt zapewnia Partia i wujosamo-dobro – po coś do tych właśnie widzów skierował przesłanie, że jeśli mamy wielkie cele, może COP, a może kretyńskie lotnisko pod Warszawą, to niezależny intelektualista nie tylko może, ale i powinien stanąć do szeregu. Służyć sprawie ze wszystkich sił. Z robieniem świństw włącznie, bo wiadomo: gdzie drwa rąbią... I wcale ów najemnik nie straci przez to statusu wolnego myśliciela. Nie, jego subiektywne poglądy po prostu znajdą lepszy rezonans. Niechby i w postaci serii spektakli w poniedziałki. Ale flirt z władzą? No gdzieżby?

Tylko po co do uzasadnienia tej, owszem, odwiecznej postawy fatygować Melchiora Wańkowicza sprzed nieomal osiemdziesięciu lat? Są bliższe przykłady. Był taki Wiesław Górnicki, świetny reporter, felietonista, pisarz znakomicie operujący ironią jak każdy sprawny umysł. Po 1981 wstąpił do Ludowego Wojska Polskiego. Jako jeden z głównych propagandzistów reżimu Wojciecha Jaruzelskiego, autor przemówień generała, dosłużył się stopnia podpułkownika. Umarł w pierwszych latach wolnej Polski. Co, Wojciech Tomczyk zachnie się na to zestawienie? To jest przecież dokładnie ten model działania, który postanowił afirmować – nie rozważyć: afirmować! – w swoim *Imperium*. Model mędrka, który wchodzi do służby. Kończy się to zawsze tak samo: podporządkowaniem. Pozorną sprawczością. Utratą

swobody myśli, w tym prawa do zbawczej ironii. I w końcu marginalizacją.

Gdyby Wojciechowi Tomczykowi nie kołatał gdzieś w tyle czaszki cichy alarm, że to może się tak skończyć, nie pisałby przecież tego, co napisał.



A gdyby nie wirus, ja bym pewnie nie komentował prapremiery *Bezkrólewia*; raczej nie zawracam głowy czytelnikom w tej rubryce przedsięwzięciami nieudanymi, do tego tak obarczonymi polityczną emocją. Nie wracałbym też do *Imperium*, choć spektakl utkwił mi w pamięci, także przez swoją osobność; nikt sobie takich tematów dziś nie bierze na warsztat. Nie przyglądałbym się więc, nawet tak pobieżnie, losom nietuzinkowego dramatopisarza, którego wczesne sztuki wciąż wracają na sceny (a taki *Wampir* choćby do wspomnianej Teatroteki). Autora, który przed dekadą porwał się na własną wersję odwiecznego tematu chocholego tańca, a dziś pisuje obrazki z ojczystej historii i bada, jak się zostaje propagandzistą narodowych idei. Byłyby inne spektakle do omawiania, lepsze, gorsze, świetne, irytujące, ale z żywych teatrów, nie z rządowej szkieleczeni, które to pochodzenie, żeby nie wiem jak się silić na obiektywizm, obciąża jednak przekaz.

Ale ich nie ma, a wymuszona pauza skłania do myślowych wycieczek w kierunkach nieoczekiwanych czasami nawet dla samego siebie. Do odkrycia na przykład, że hamulec zaciągnięty na codziennym biegu recenzenta ze spektaklu na spektakl, z teatru do teatru i z miasta do miasta, to wcale nie jest taka zła rzecz. Owszem to strata tych radości, które się trafiały na widowni, ale radości opłaconych przecież stertami zmarnowanych kwadransów. Więc może przez chwile nie jest złe i to, że teatr jest teraz gdzieś na dalekim horyzoncie, czeka, że się do niego zatęskni, i wychodzi na to, że musi jeszcze poczekać. Niech sobie postoi niczym statek na redzie. Kiedyś przypłynie. A póki go nie ma, można sobie parę rzeczy w głowie poukładać. Można na przykład podumać, za czym się tęskni najmniej. Która kwarantanna może bez strat się przedłużać – dla zdrowia, rzecz jasna. Obopólnego.

Ja chyba wiem, do jakiego gatunku sztuki scenicznej nic we mnie dziś nie wzdycha. Do teatrów w służbie, rozumianej trochę tak jak w *Imperium*, ale dużo szerzej. Do teatrów, których twórcy chcą mi komunikować same niepodważalne, zaświadczone żarliwą wiarą, jedynie słuszne treści. Odmian ich multum. To cała

seria infantylnych narodowo-patriotycznych czytanek z Teatru Telewizji, na tle których dzieła Tomczyka są przynajmniej jakoś napisane. Ale i manifesty feministycznego samouwielbienia i co tu dużo mówić, żeńskiego chamstwa, spotykane na przykład w warszawskim Powszechnym. Teatry w służbie intelektualnego snobizmu, naśladujące się modnymi idejkami, które się czyta i się zna po młodohumanistycznych salonach. Ale i teatry w służbie narcystycznej rutyny, niezwykle z siebie zadowolone, zabawiające od lat publiczność tymi samymi, przetartymi już od nadużywania numerami. Te i jeszcze inne widowiska, które nie chcą się do mnie, widza, uśmiechnąć, coś przedstawić, czymś się zdziwić, do czegoś razem spróbować dojść – tylko mnie gorliwie nauczają, nawracają, instruują, wychowują, grzmią, mądrzą się i pimczą.

Nie ma co marzyć, one też kiedyś wrócą z kwarantanny, już przebijają nogami. No to może póki się da, w maseczkach. Na dystans. Na zdalność. W końcu wirus nie przelewki.

Jacek Sieradzki

Wojciech Tomczyk BEZKRÓLEWIE. Reżyseria: Jerzy Machowski, scenografia i kostiumy: Aleksandra Gąsior, muzyka: Ignacy Zalewski, zdjęcia: Jarosław Żamojda PSC, montaż: Beata Barciś PSM, opieka artystyczna: Michał Kwieciński. Emisja w Teatrze Telewizji 27 kwietnia 2020.

Wojciech Tomczyk IMPERIUM. Reżyseria: Robert Talarczyk, scenografia i kostiumy: Katarzyna Sobańska i Marcel Sławiński, zdjęcia: Leszek Ptaszyński, opracowanie muzyczne: Joanna Fidos. Emisja w Teatrze Telewizji 30 września 2019.

„Bezkrólewie” w Teatrze TV

